



WOJTEK MIŁOSZEWSKI

BEZ RESZTY

To jest darmowy fragment powieści.
Przeczytaj, wciągnij się i jeśli jesteś ciekaw co wydarzy się dalej,
zapraszamy do naszego sklepu:

www.heca.art



Copyright © Spółka Autorska Heca

PROLOG

Mróz pokrył świat skrzącym się szronem. Dachy stoisk i pawilonów nowohuckiego Tomexu mieniły się delikatnie w świetle latarni. Z powodu przedświątecznej pory w ciągu dnia na bazarze kwitł wzmożony handel. Teraz dochodziła północ, ale ekipy sprzątające skończyły pracę ledwie dwie godziny wcześniej. Dwa samochody zaparkowane pod jednym z dachów nie wzbudzały podejrzeń, bo na terenie kompleksu stało jeszcze kilka pojazdów, a mrok skrywał sylwetki ludzi w środku. Za kierownicą dużego fiata kombi siedział komisarz Kastor Grudziński. Miał na sobie grube sztruksowe spodnie oraz zimowe buty na twardej podeszwie. Cholernie niewygodne i piekielnie ciepłe. Pod spodniami kalessony, a pod kurtką dwa swetry i trzy podkoszulki. Zerknął w lusterko, na swoją przeraźliwie bladą twarz z drobnym nosem. Skóra wyglądała tak samo jak dachy bazaru. Spod grubej wełnianej czapki wystawały długie do ramion blond włosy. Czoło znaczyła blada poszarpana blizna.

– Chryste, popatrz na moją twarz – mruknął. – Czy to już hipotermia?

– Weź mi nic nie mów. Od kwadransa się nie poruszyłem. Mam wrażenie, że z każdym ruchem tracę połowę ciepła.

Kastor spojrział na siedzącego obok nadkomisarza Krzysztofa Tyszowieckiego. Naczelnik wydziału kryminalnego nosił okulary w drucianej oprawce, które w połączeniu z bujną brodą nadawały mu wygląd dobrodusznego profesora. Tyle że teraz Tyszol, jak nazywano go na komendzie, wyglądał na zmarzniętego profesora, który wylazł spod mostu, żeby wyżebrać od przechodniów kilka drobniaków.

– Wyglądamy jak bezdomni – powiedział komisarz.

– Ale zmotoryzowani. – Tyszowiecki skrzywił twarz w uśmiechu i nacisnął uszankę mocniej na głowę.

– Mam wrażenie, że w tym zasranym fiacie jest zimniej niż na zewnątrz.

– Zabawa się zacznie, jak nie przyjadą za dwie albo trzy godziny. Wtedy szyby pokryje szron. Wiesz, co to znaczy?

Choć chwilę wcześniej wydawało mu się to nieprawdopodobne, Kastor zeszytniał jeszcze bardziej. Nie mogli zeszkrobać szronu, by samochód się nie wyróżniał. Musieliby wyjść i prowadzić dalej obserwację z zewnątrz, stercząc na dziesięciostopniowym mrozie.

– Cofam to, co powiedziałem. Tu jest cieplej niż na zewnątrz.

Znów zerknął w lusterko wsteczne. Kilka metrów za nimi stał polonez. Wydział przestępstw gospodarczych reaktywowano po krótkiej przerwie; w samochodzie siedziało więc dwóch, jak ich potocznie nazywano, pegowców. Władek i Mirek, jeden głupszy od drugiego. Byli kompletnymi fajtłapami, ale kryminalni zabierali ich na akcje, bo dzięki temu mieli o wiele mniej papierkowej roboty.

Kastor przeniósł wzrok na budkę przy szlabanie zagradzającym wjazd na teren Tomexu. W oknach paliło się światło. Siedzący tam cieć wiedział, że przyszykowali tej nocy zasadzkę. Nie mogli mieć pewności, czy nie współpracował ze złodziejami, więc na wszelki wypadek odcięli mu telefon i zabronili wychodzić. Komisarz pomyślał z tęsknotą o małej farelce, która w ciasnym wnętrzu stróżówki dbała o odpowiednią temperaturę. Dałby się teraz pokroić za taki luksus.

Kilka dni wcześniej dostali cynk od jednego z uchoi, że na bazar trafi transport kradzionych płyt kompaktowych. Kastor słyszał już o tym technologicznym cudzie. Muzykę zapisywano na nośniku w sposób cyfrowy. Nieważne, ile razy przesłuchało się taką płytę, jakość dźwięku pozostawała bez zarzutu. Niedawno się zastanawiał, czy nie kupić sobie takiego odtwarzacza, ale okazało się to marzeniem ściętej głowy. Ceny były astronomiczne. Z drugiej strony nie narzekał, bo bogatsi pozbywali się płyt gramofonowych. Dwa tygodnie wcześniej wszedł w posiadanie pokażnej kolekcji, którą ktoś po prostu zostawił na śmietniku pod jego domem.

Super, pomyślał z rozżaleniem. Tkwią tu od kilku godzin, mroząc dupsko, żeby złapać złodziei. Ale na nic mnie nie stać i grzebię po śmietnikach.

– Coś tak ucichł? – spytał Tyszol.

– Nic. Myślałem o muzyce rozrywkowej dla bezdomnych buszujących po kontenerach ze śmieciami.

– Czyli użalałeś się nad sobą?

– Skąd wiesz?

– Parę dni temu wygrzebałem u siebie pod blokiem kilka albumów Zauchy. Okładki musiałem wyrzucić, bo waliły starym jajem, ale płyty chodzą jak złoto. – Nadkomisarz zarechotał, a Kastor szybko do niego dołączył. – Pamiętaj, że użalanie się nad sobą jest niemęskie.

– Wiem. Ale nic nie poradzę, że jednocześnie jest trochę przyjemne.

– Kawy może tykniemy?

Komisarz chciał odmówić, bo miał wrażenie, że choć napój cudownie rozgrzewał, to potem robiło się jeszcze zimniej, ale podniósł tylko rękę w geście nakazującym ciszę, bo szlaban na wjeździe bazaru powędrował w górę. Ciężarówka scania wtoczyła się na plac, a zaraz za nią ciemne bmw serii 7. Warte tyle, co kilka mieszkań w centrum Krakowa. Policjanci opuścili dużego fiata i ruszyli pewnym krokiem w kierunku dwóch mężczyzn, którzy właśnie wysiedli z bmw. Komisarz widział tylko jeden problem. Żeby się wylegitymować, musiał rozpiąć kurtkę, wpuszczając pod spód lodowate powietrze. Zatrzymywanie złodziei zwykle przebiegało bezproblemowo. Wiedzieli, że wpadli, i poddawali się bez problemów, by jak najszybciej usłyszeć wyrok, odsiedzieć swoje i wracać do pracy. Czyli do kradzieży. Co innego rozbojarze. Z tymi zawsze były problemy. Ale złodzieje unikali przemocy.

– Policja! – ryknął i jak najszybciej wyciągnął legitymację. Tyszol zrobił to samo. Przyspieszyli kroku, na wypadek gdyby tamci spróbowali ucieczki. To akurat mogło się zdarzyć. Jeden z mężczyzn otworzył jednak niespodziewanie tylne drzwi bmw, sięgnął do środka i zaraz rozpętało się piekło. Grad pocisków zagrzechotał na skutej

mrozem ziemi. Spanikowani policjanci rzucili się do tyłu, za dużego fiata.

Po krótkiej chwili nocną ciszę przerwała kolejna kanonada. Rozległ się łoskot kul przebijających karoserię fiata, brzęk tłuczonych szyb. Kastor, kuląc się, na migi ponaglał pegowców, by wysiedli i też zaczęli strzelać. Polonez błysnął światłami, a z rury wydechowej buchnął siwy dym. Komisarz przeraził się, że tamtych dwóch debili postanowiło staranować przestępców. To byłaby pewna śmierć! Obawa ustąpiła jednak wściekłości, gdy tylko zobaczył, że polonez ruszył ostro na wstecznym, by wykręcić pod płótem w kierunku drugiej bramy.

– Te chuje z PG uciekają!

– Będą przeładowywać! – Tyszol przekrzykiwał terkot pistoletów maszynowych. – Biegnij pod ścianę za filar, osłonię cię!

Kastor kiwnął głową i wyszarpnął spod kurtki czaka. Kanonada ucichła, a nadkomisarz Tyszowiecki wychylił się zza kufra fiata i odpowiedział ogniem. W tym samym momencie Kastor rzucił się do pobliskiej ściany. Przywarł do betonowego słupa i wymierzył dokładnie. Trafił jednego z tamtych w ramię. Drugi z miejsca skierował broń na pozycję komisarza i kule gruchnęły w beton filaru, wzbijając chmurę odłamków.

Gdy Kastor się wychylił po kilku sekundach, zachęcony ciszą, zobaczył, że kierowca scanii przesiadł się do bmw i wszyscy trzej wyjeżdżają pełnym gazem w Bieńczycką. Wybiegł za nimi na ulicę i złożył się do strzału, ale luksusowe auto szybko nabrało prędkości. Byli poza zasięgiem. Do fiata wracał z wyrazem kompletnego szoku na twarzy. Policję się obrażało. Policję się opluwało. Poniewierało się. Policji ostatecznie można było dać w łeb. Ale ostrzeliwać w taki sposób? Z pistoletu maszynowego? To przypominało jakąś cholerną bitwę! Gdy tylko dostrzegł Tyszola, pobiegł. Klęknął przy nim i zobaczył, że z ust tamtego wypływa krew.

Zerwał się na nogi i pognął do dyżurki. W pierwszej chwili uznał, że cieć uciekł. Dopiero po kilku sekundach zauważył gruby tyłek wystający spod biurka. Kastor sięgnął po słuchawkę, po czym

z rozpaczą uświadomił sobie, że przecież sami odcięli telefon. Wrócił biegiem do fiata tylko po to, by się przekonać, że ich radiotelefon roztrzaskała kula.

Klęknął przy nadkomisarzu i zaczął reanimację. Nigdy go do tego nie szkolono, ale widywał nieraz zespoły pogotowia w akcji. Uciskał rytmicznie klatkę Tyszola, co jakiś czas wdmuchując mu powietrze do ust. Jęknął, gdy się zorientował, że przy każdym dmuchnięciu z dziury w piersi kolegi wypływa spieniona krew. Gdzieś w oddali zawyły syreny. Ktoś pewnie zadzwonił na policję, zaniepokojony kanonadą. Albo funkcjonariusze PG wspięli się na wyżyny bohaterstwa i powiadomili centralę. Wytrzeszczone oczy Tyszola patrzyły bez wyrazu, a spływająca krew parowała w kontakcie z lodową ziemią.

– Nie umieraj, słyszysz?! – Kastor ryknął, nie przerywając rozpaczliwej reanimacji. – Nawet mi się, kurwa, nie waży zdychać!

PIĄTEK, 21 GRUDNIA 1990

1

Rano zaczął sypać śnieg. Cmentarz Rakowicki spowijały tumany drobnego, wirującego puchu. Stare drzewa i zabytkowe nagrobki wyglądały bajkowo. Sielską atmosferę rozpraszał jednak stukot podkutych butów, nietłumiony cienką jeszcze warstwą śniegu. Czterech roślących policjantów kompanii reprezentacyjnej dźwięgało w milczeniu trumnę z nadkomisarzem Krzysztofem Tyszowieckim. Gdy kondukt dotarł do kwatery, ustawili skrzynię przy odsłoniętym grobie, a ksiądz odmówił krótką modlitwę.

Potem przemawiał komendant wojewódzki, inspektor Andrzej Potulicki. Mówił to, co zawsze się mówi w takich chwilach. O poświęceniu, o bohaterstwie. O tym, że Komenda Wojewódzka wspomógł żonę i córkę zabitego. I o tym, że policja nie odpuści i zrobi wszystko, co w jej mocy, żeby schwycić odpowiedzialnych za tę straszną zbrodnię. Kastor stał trochę z tyłu, wpatrzony w sypiące płatki śniegu. Kątem oka widział żonę Tyszola i przytuloną do niej, szlochającą córkę. Ale nie miał odwagi spojrzeć im w oczy.

Gdy się dowiedział, że rodzina nie życzy sobie składania kondolencji, odetchnął z ulgą. Czuł się odpowiedzialny za tę śmierć. Mógł zrobić więcej. Może gdyby od razu wyciągnął żelazo i otworzył ogień, to rozwaliliby dwóch? Ale z drugiej strony

przecież wiedział, że życie to nie film. To ja powinienem leżeć w tej trumnie zamiast niego, pomyślał. Wzdrygnął się, gdy kompania reprezentacyjna oddała trzy salwy honorowe, a grabarze opuścili trumnę do dołu.

Na pogrzebie stawiała się masa gliniarzy z Komendy Wojewódzkiej i komisarz otrzymał wiele propozycji podrzucenia go na Mogiłską. Ale nie skorzystał. Wolał przejechać się tramwajem i pobyć trochę sam ze swoimi myślami. Jak zwykle stanął z tyłu wagonu. Jak zwykle nie trzymał się poręczy. Jeździł krakowskimi tramwajami ponad trzydzieści lat i potrafił wyczuć, kiedy wagon skręci lub bujnie się niebezpiecznie w bok. Kraków ogarnęła przedświąteczna gorączka. Zazwyczaj o tej porze większość ludzi siedziała w pracy, ale nie dzisiaj. Tramwaj zapchany był ludźmi, a na ulicach potworzyły się korki. Kastor uznał, że te święta różniły się od poprzednich. Jeszcze rok wcześniej Boże Narodzenie szykowało się w klimacie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Dominujące oczekiwanie na to, co i w którym sklepie pojawi się w ostatniej chwili. No i oczywiście ogólnokrajowe trzymanie kciuków za pracowników szczecińskich i gdańskich portów. To właśnie ci dzielni robotnicy, o ile wierzyć gazetowym komunikatom, odpowiadali za sprawny rozładunek pomarańczy i bananów – bożonarodzeniowych symboli, zapewniających szczęśliwemu zdobywcy chwałę i uznanie całej rodziny.

Teraz wszystko się zmieniło. Komisarz nie wiedział, jakim cudem, ale półki nie świeciły już pustkami. Tydzień wcześniej zatrzymał na Hali Targowej pewnego pasera. Widok dostępnego asortymentu wprawił Kastora w takie osłupienie, że mało nie zatrzasnął kajdanek na własnym przegubie. Kupić można było wszystko. O ile oczywiście miało się pieniądze, co stanowiło osobny temat. Kraków z dnia na dzień stawał się miastem coraz bardziej niebezpiecznym. Po pierwsze więcej ludzi bogatych, których można okraść. Po drugie narastające poczucie krzywdy i desperacja najbiedniejszych przekonanych o tym, że przecież im też coś się od życia należy.

Tramwaj rozkraczył się w okolicy Cystersów. Motorniczy otworzył drzwi i ludzie poszli dalej na piechotę. Kolejny znak czasów. Za komuny byle jak, ale jednak wszystko działało. Teraz przedsiębiorstwa finansowane z budżetu przechodziły głęboki kryzys. Pieniądzy po prostu nie było. A zatrudnieni do tej pory w państwowych firmach odchodzili, wybierając kapitalistyczną ścieżkę kariery. W prywatnych przedsiębiorstwach trzeba było pracować dłużej i ciężiej, ale za większą wypłatę. Kastor przypomniał sobie, że ledwie przed miesiącem sam się zastanawiał, czyby nie odejść z policji. Kuszono go perspektywą pracy w hurtowni napojów gazowanych. Mógł mieć samochód do dyspozycji i jeździć sobie po sklepach, wciskając towar. Teraz już jednak wiedział, że to nie wchodzi w grę. Muszę dorwać skurwieli, którzy zamordowali Tyszola, pomyślał. I nie dbał o to, że zabrzmiało to jak kwestia z taniego sensacyjnego filmu. Przeszedł pod wiaduktem kolejowym; po prawej zamajaczył ponury budynek Komendy Wojewódzkiej. Kastor minął się z trzema podejrzanymi wyglądającymi typkami. Brązowe kurtki z niegdyś białym, a teraz szarym kożuszkim, spodnie od dresu i sportowe buty we wszystkich kolorach wyjątkowo jaskrawej tęczy. Obrzucili go niechętnymi spojrzeniami, lustrując jego garderobę. Poszeptali coś między sobą, ale poszli dalej. Najwyraźniej uznali, że jestem nędzarzem i nie warto mnie okradać, pomyślał. Zauważył, że w mieście pojawiało się coraz więcej oprychów, którzy przyjeżdżali z sąsiednich miast i miasteczek. Rozboje, kradzieże torebek, czyli tak zwane wyrwy, i kieszonkowe groziły mieszkańcom całego Krakowa.

Ciekawe, jak konkretnie mamy sobie z tym poradzić, pomyślał, wdrapując się na trzecie piętro. Wszedł do swojego pokoju, zdjął kurtkę, czapkę i szalik, a potem usiadł za biurkiem pod oknem. W pomieszczeniu były jeszcze dwa, do tego pokaźna szafa oraz wciśnięta w kąt umywalka z przytwierdzonym do ściany, wyszczerbionym lustrem. Naprzeciwko biurka Kastora, zaraz pod oknem, stał rozkładany fotel, nazywany potocznie

amerykanką. Na tym koślawym rupieciu, nakryty lichym kocem, chrapał w najlepsze sierżant Robert Kwiecień. Kwiatek, jak go tu nazywali, był alkoholikiem i przesypiał większą część dnia, a jego względna przydatność do policyjnej roboty przypadała na wieczory. Oto nasza sekcja kryminalna, pomyślał gorzko Kastor. Pijak i nieudacznik, pozbawieni naczelnika. Kraków może spać spokojnie, nie ma co.

Komisarz wyczuł kwaśny smród wymiocin i uchylił okno, wpuszczając do środka lodowate powietrze. Wstał i wysunął spod amerykanki miednicę z rzygowinami. Podeszedł z nią do zlewu, opróżnił i zaczął płukać, nawet o tym nie myśląc. W końcu robił to tysiące razy. Kwiatek pracował w kryminalnej od dwudziestu lat, a chlał od jakichś piętnastu. Przez ten czas wszyscy koledzy z sekcji opiekowali się nim w ten sam sposób. Kastor zaczął się zastanawiać, kto też mógłby zostać nowym naczelnikiem. Na komendzie chodziły słuchy, że może nadkomisarz Sobiesiak, który w swojej długiej i burzliwej karierze pełnił już kiedyś tę funkcję. Ale komisarz szczerze wątpił. Do dziś pamiętał pogadankę na temat alkoholizmu, której organizację zarządziła tak zwana góra. Wszystkich stłoczono w policyjnym kasynie, a wykład miał prowadzić nie kto inny, jak Sobiesiak właśnie. Kompletnie nawalonego nadkomisarza wniosło dwóch podwładnych, a ten popatrzył po zgromadzonych i wybełkotał: „Pamiętać, kurwa wasza, nie pić w pracy, do chuja!”. Po czym zlał się w gacie i pozwolił się wywlec z sali. To już nie te czasy, pomyślał smętnie Kastor, chwytając miednicę pod rozkładany fotel. Sierżant Kwiecień stanowił ostatnią pozostałość tamtej prehistorycznej epoki.

Gdy tylko komisarz wrócił za biurko, zadzwonił telefon.

– Grudziński – powiedział Kastor do słuchawki.

– Z tej strony nadkomisarz Tadeusz Różański. Pan pozwoli do mnie do czterysta osiem.

– Tak jest.

Uznał, że głos nadkomisarza brzmiał rozsądnie i zarazem stanowczo. Sugerował kogoś, kto zrozumie problemy toczące

obecnie krakowską policję i pomoże uporządkować jakoś ten syf, który powoli rozlewał się po mieście.

Gdy Kastor wchodził na czwarte piętro, spotkał Maćka „Sonny’ego” Gajdę, zdecydowanie najprzystojniejszego gliniarza z Komendy Wojewódzkiej. Ksywa wzięła się stąd, że nosił się prawie jak Don Johnson w *Policjantach z Miami*. Miał cholerne powodzenie u kobiet. Wśród niewiarygodnych historii o jego przygodach były takie o zakonnicach porzucających swój stan i lesbijkach zmieniających orientację.

Wszystkie te opowieści brzmiały niewiarygodnie, ale facet był tak przystojny, że Kastor mógł uwierzyć w każdą z nich.

– Serwus! To prawda, że waszym nowym naczelnikiem został Włóczykij?

– Co?

– Największy policyjny teoretyk w tym kraju! – Sonny roześmiał się na całą klatkę schodową.

– Dlaczego Włóczykij?

– Gościu bronił pracy doktorskiej pod tytułem *Przestępczość wśród wędrownych grup młodzieżowych*. Czaisz?

– Dobra, może tak musiał, żeby mieć kwit. – Kastor próbował być optymistą.

– Może i tak. Pamiętasz Zająca z komendy na Zamojskiego?

– Tego, co robił kurwy i alfonsów? No pewnie. Świetny facet!

– To wiesz, co on zawsze powtarzał po pijaku? – Sonny błysnął zębami w uśmiechu. – Kto nigdy konia nie walił, obcej baby nie ruchał...

– ...i w kryminale nie siedział, ten nie zna życia – komisarz dokończył sprawnie sentencję. – Ta, pamiętam.

– To ten wasz nowy naczelnik pierwszego warunku za Chiny nie spełni!

Sonny zarechotał i pobiegł w dół, a Kastor postanowił zignorować jego uwagi. Każdy nowy na komendzie był przedmiotem żartów i kawałów. A potem wszystko jakoś się układało.

Zastukał do drzwi gabinetu naczelnika i niezwłocznie wszedł. Nadkomisarz Tadeusz Różański był szczupłym i wysokim mężczyzną o pociągłej, piegowatej twarzy. Charakteryzowały go nienaturalnie krótkie, zupełnie nieprzystające do wzrostu ręce. Kastor od razu zrozumiał, co miał na myśli Sonny, mówiąc, że nadkomisarz nigdy nie zwali konia. Faktycznie, ciężko byłoby mu sięgnąć, pomyślał Kastor i parsknął śmiechem. Tamten zmierzył go groźnym spojrzeniem i powiedział:

– Pan jest, widzę, w świetnym humorze po dzisiejszym pogrzebie.

Komisarz zmienił się na twarzy i popatrzył ostro na nowego przełożonego, który jednak albo nie rozpoznał groźby czającej się w tym spojrzeniu, albo po prostu ją zignorował. Z urażoną miną wyciągnął rękę, a Kastor, chcąc nie chcąc, uściśnął jego dłoń.

– Niech pan usiądzie, proszę – powiedział naczelnik. – Od dzisiaj będziemy razem pracować. Od swoich podwładnych wymagam właściwie tylko jednego. Absolutnego posłuszeństwa. Rozumiemy się?

– Tak jest.

– Oprócz pana w sekcji jest jeszcze... – naczelnik zaczął przeglądać papiery leżące na blacie – sierżant Kwiecień?

– Tak jest. On pracuje zazwyczaj na wieczorną zmianę.

– Doskonale. Jakie są pańskie priorytety?

– Po pierwsze zacząć śledztwo w sprawie śmierci nadkomisarza Tyszowieckiego. Dorwać skurwysynów i zgromadzić tyle dowodów, żeby każdy z nich dostał cwiarę. Po drugie zrobić porządek w tym mieście, bo z dnia na dzień jest gorzej. Do tego potrzebuję więcej ludzi i co najmniej kilku samochodów.

Komisarz wiedział, że to księżycowe żądania. Ale wolał zaryzykować podczas pierwszego spotkania, niż potem sobie wyrzucać, że nie spróbował zawalczyć o lepsze warunki.

– Bardzo źle. Widzę, że kompletnie nie zna się pan na swojej pracy.

– Proszę? – Kastor zamrugał ze zdziwienia.

– Ale to nic. Po to tu jestem, żeby wszystkim pokierować. Czy pan myśli, że zwykłego obywatela obchodzi śmierć policjanta?

– Mnie obchodzi.

– Nie pytam o was! – Naczelnik podniósł głos, co się bardzo komisarzowi nie spodobało. – Zwykły obywatel ma to w dupie! On chce, żeby było bezpiecznie.

– W Krakowie bezpiecznie właśnie nie jest. I tym musimy się zająć!

– Tak jest, ale to powinno być pierwszym z pańskich priorytetów. Poza tym od bezpieczeństwa na ulicach są mundurowi. Oni się tym zajmą. Czyli na dzień dzisiejszy nie ma pan żadnych priorytetów, tak?

Kastor milczał dłuższą chwilę. Nie mógł uwierzyć. Miał przed sobą debila, który zdecydowanie nadużywał słowa „priorytet”.

– Panie naczelniku, to co mam robić?

– Czekać, aż ktoś popełni przestępstwo odpowiedniej rangi, żeby nasza sekcja mogła się nim zająć.

– Czyli że co? Zamach na papieża? Pan wybaczy, ale średnio się orientuję, kiedy będzie następna pielgrzymka.

– Musicie coś o mnie wiedzieć, komisarzu. Zupełnie nie mam poczucia humoru.

Kastor zauważył w duchu, że mało kto się do tego przyznaje. Zazwyczaj wszyscy starają się być na siłę śmieszni i zdecydowanej większości wychodziło to raczej marnie. Powstrzymał się od komentarza.

– Nie chcę, żebyśmy zaczęli naszą współpracę od kłótni. Dlatego dam wam więcej ludzi oraz samochód. – Naczelnik uśmiechnął się wspaniałomyślnie. – Aha, jeszcze jedno. Zawsze uważałem, że robota w policji to przede wszystkim praca analityczna, umysłowa. Dlatego wymagam, aby minimum sześć godzin w ciągu dnia spędzał pan na komendzie.

– Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby ktoś ujął przestępcę na komendzie.

– Pan może nie słyszał, a ja widziałem.

Różański uśmiechnął się tajemniczo, a Kastora замуrowało. Pożegnał się uściskiem dłoni i wyszedł z gabinetu. Nie było tak źle, jak się obawiał. Było o wiele gorzej.

2

Kastor zszedł do kasyna i zamówił gołąbki w sosie pomidorowym z ziemniakami. Z całego dania jadalne okazały się tylko ziemniaki, a reszta poszła do kosza. Nawet żarcie robi się coraz gorsze, pomyślał zrezygnowany komisarz. A przecież nigdy do najlepszych nie należało. Wrócił do pokoju, sprawdził, czy z Kwiatkiem wszystko w porządku, ubrał się i opuścił budynek Komendy.

Szybko złapał tramwaj i pół godziny później wyskoczył na placu Wolności, który uchwałą rady miasta z września wkrótce ponownie miał się stać placem Inwalidów. Znowu zaczęło mocno sypać, więc Kastor nacisnął głębiej czapkę na głowę i postawił kołnierz kurtki. Jemu akurat wolność kojarzyła się przyjemniej niż inwalidztwo. Oczywiście wiedział, że o innych inwalidów tu chodziło, ale nie rozumiał pewnych decyzji włodarzy. Zmieniali nazwy wielu ulic, argumentując to zawsze tym, że „kiedyś właśnie tak było”. Co, do jasnej cholery, to może od razu wróćmy do lamp naftowych?

Dotarł na Józefitów i wszedł na klatkę schodową kamienicy, w której mieszkał. Skrzywił się, wciągając do płuc gęsty dym. Na schodach siedziało dwóch nastolatków w dresach, zajmując całą szerokość. Na posadzce stała flaszką po wódcę, a młodzieńcy najwyraźniej kontemplowali ciszę, rozkoszując się smakiem tytoniu.

– Chcecie chlać i jarać, to idźcie do knajpy! – powiedział ostro komisarz.

– Dziadziu – wychrypiał jeden z młodzieńców. – Wypierdalaj stąd, bo cię zawiozę erką na Łazarza.

– Proste. – Drugi roześmiał się głośno.

Kastora chyba najbardziej zabolalo to, że zwrócono się do niego per dziadziu. Przecież miał dopiero czterdzieści lat! Przez chwilę się zastanawiał, czy nie wyciągnąć legitymacji, uznał jednak, że na tych dwóch nie zrobi to większego wrażenia. Ta dzisiejsza młodzież nie ma do nikogo szacunku, westchnął w duchu. Uświadomił sobie, że faktycznie myśli jak stary dziadek, i się roześmiał. Nastolatkom, którzy wcześniej sami byli w dobrych humorach, z jakiegoś powodu jego wesołość zupełnie się nie spodobała. Jeden poderwał się na równe nogi.

– Śmiesz cię coś? Pruj się stąd!

Kastor uderzył go pięścią w gardło. Nie za mocno, żeby się dzieciak nie udusił. Potem chwycił jego palec wskazujący i wykręcił. Chłopak się zatchnął, jednocześnie zawył cienko i wspiął się na palce, próbując chociaż trochę osłabić działanie założonej dźwigni. Drugi chwycił butelkę, ale Kastor zręcznym ruchem wyciągnął pistolet i wycelował mu w twarz. Chuligan upuścił butelkę i odskoczył pod skrzynki na listy. Teraz wyglądał po prostu jak przestraszony nastolatek.

Kastor nie miał zamiaru ich aresztować. System był w takich wypadkach do dupy. Protokół, sąd rodzinny i wreszcie poprawczak, z którego młodociani wychodzili dwa razy bardziej zdegenerowani. Ale nie wypadało też tak tego zostawiać, żeby przypadkiem ktoś inny nie ucierpiał.

Obezwładniony chłopak złapał w końcu oddech i Kastor pchnął go w kierunku kolegi.

– Dokumenty!

Zaczęli gmerać po kieszeniach i po chwili komisarz trzymał w dłoni legitymację szkolną i dowód osobisty. Ten, który złapał butelkę, miał osiemnaście lat.

– Słuchajcie mnie teraz, szczytle, uważnie. – Kastor rzucił dokumenty na ziemię. – Znam wasze nazwiska i paskudne ryje.

Jak będziecie tak dalej urać na mieście, to prędzej czy później wpadniecie. A ja się o tym dowiem i gwarantuję wam, że nie będzie żadnego poprawczaka ani małego wyroku. Przykleję wam zabójstwo i pójdziecie pierdzieć w pasiaki na dwadzieścia pięć lat. Zrozumieli?!

Chłopcy pokiwali głowami, podnieśli dokumenty i wybiegli z klatki. Kastor schował pistolet, doskonale zdając sobie sprawę, że groźba będzie skuteczna przez kilka dni, góra tydzień. Wątpił, żeby tacy jak oni wzięli się do uczciwej pracy. Teoretycznie w Krakowie powstawało wiele nowych firm, a w ogłoszeniach roiło się od ofert pracy. Jednak według niego roboty było coraz mniej i nic nie wskazywało, żeby miało się to zmienić. Podobno oficjalnie bezrobocie wynosiło szesnaście procent. Jakkolwiek to liczyl. Pewnie jak to w statystyce – ja mam dwie nogi, a mój pies cztery, czyli statystycznie mamy po trzy.

Wszedł na drugie piętro i stanął przed drzwiami do mieszkania, szukając kluczy. Wtedy w progu naprzeciwko stanęła Murarczykowa. Człowiek orkiestra, stróż nocny i naczelną plotkara kamienicy. Nikt jej tak naprawdę nie lubił, ale też nie mógł o niej złego słowa powiedzieć. No i zdecydowana większość jednak trochę się jej bała. Sąsiadka Kastora miała na sobie kwiecisty szlafrok, na głowie starannie ułożoną fryzurę, a na twarzy mocny makijaż. Niedobrze, pomyślał komisarz, musiała na mnie czekać.

– Panie Grudziński, z elektrowni u pana byli. – Do każdego innego w kamienicy zwracała się po imieniu, ale najwyraźniej „Kastor” brzmiało dla niej zbyt egzotycznie lub podejrzenie.

– Co chcieli?

– Telewizji to pan dzisiaj raczej nie obejrzy. – Sąsiadka podsunęła mu kopertę.

Wziął pismo i przebiegł wzrokiem. Zalegał z opłatami już trzeci miesiąc i wreszcie postanowiono użyć najsilniejszego środka perswazji. Odcięli mu prąd.

– Musiałem zapomnieć. Wiecznie w robocie, wie pani, jak to jest... – Schował kopertę do kieszeni kurtki. – Ale dziękuję. Na

drugi raz może pani zostawić na wycieraczce albo w drzwiach. Nie chciałbym pani fatygować.

– Coś pan, żeby ukradli?

– Po co ktoś miałby kraść takie pismo?

– A bo to ja wiem?! Teraz wszystko kradną. Jak nienormalni. Policji na ulicach nie wi... – Urwała w pół słowa, trochę zawstydzona. Najwyraźniej przypomniła sobie, z kim rozmawia.

– Nie musi się pani cenzurować. Wiem, o co chodzi.

– Dzisiaj ledwo przeszłam na dole. Dwóch takich smarków wódkę sobie rozpijało.

– Porozmawiałem z nimi. Raczej nie będą tu już przychodzić.

– Pójdą na inną klatkę.

– Jeszcze raz dziękuję, do widzenia. Skinął jej głową i wszedł do mieszkania.

W środku było ciemno, ale przynajmniej ciepło. Kaloryfery grzały przyjemnie i komisarz z ulgą zrzucił zimowe ubrania. Chciał trochę odpocząć, słuchając płyt ze śmietnika. Teraz to jednak odpadało. Może poczyta? Zaczął po omacku szukać świec w kuchennej szufladzie. Raz wałnął się kolanem, drugi raz nadgarstkiem i zrezygnował z dalszych poszukiwań.

Usiadł po prostu w fotelu w salonie i patrzył przez okno. Wirujące płatki śniegu lśniły w świetle ulicznych latarni. Myślał o tym, co powiedziała sąsiadka. Oczywiście, że pójdą na inną klatkę. Ostatnimi czasy coraz częściej męczyły go depresyjne myśli. Dobrze wiedział, że miał ciężką i słabo płatną pracę. Ale zawsze czuł, że jest potrzebna i coś jednak zmienia na ulicach Krakowa. A teraz? Zamordowali jego naczelnika, nowy okazał się durniem, a Kastorowi został do pomocy alkoholik funkcjonujący tylko wieczorami. Przypomnił sobie Tyszolą, który mawiał, że użalanie się nad sobą jest niemęskie. Uśmiechnął się, choć czuł głęboki smutek. Wiedział, że będzie mu bardzo brakować nadkomisarza. Ludzie biorą gliniarzy za twardzieli. I dobrze, bo tak powinno być. Zresztą żaden policjant nigdy nie

okaże na zewnątrz słabości, bo rozbojarz, złodziej albo włamywacz z miejsca to wyczuje i wykorzysta. Dlatego pogadać mogli tylko między sobą. W tej robocie najważniejsi są ludzie. Tacy, na których można liczyć. Jak ich nie ma, to mogiła. Uznał, że siedzenie w ciemnym mieszkaniu na pewno nie poprawi mu humoru. Dlatego spakował niewielki plecak i wyszedł. Coraz silniejszy wiatr walił tumanami śniegu prosto w twarz. Temperatura musiała znacznie spaść, bo Kastor szybko przemarzł na kość.

Gdy dotarł do Hali Wisły, z rozkoszą przywitał duchotę panującą przy basenowych kasach i w szatni. Już po chwili wskakiwał do basenu. Odbił się nogami od ściany i popłynął kraulem. Zawsze dobrze się mu myślało podczas pływania lub w ogóle wysiłku fizycznego. Zrobił kilkanaście basenów i oparł się plecami o brzeg, odsuwając okulary pływackie na czoło. Rozejrzał się po pustej pływalni. Większość ludzi była zapewne zajęta świątecznymi przygotowaniami.

Muszę wreszcie zapłacić te rachunki, pomyślał. Tylko z czego? Większości kolegów z komendy ktoś pomagał związać koniec z końcem. Na przykład rodzice albo – w niektórych wypadkach, wstyd przyznać – własne dzieci. Ci zarabiający najmniej mieli różne dodatki. Ale Kastor statystycznie nie zarabiał ani źle, ani dobrze. Zdaje się, że Amerykanie nazywają to pułapką średniego wzrostu czy jakoś tak, pomyślał i uśmiechnął się gorzko. Gdyby miał żonę albo dzieci, być może udałoby się załatwić chociaż drugie mieszkanie, a to, w którym teraz mieszkał, przeznaczyłby na wynajem.

Przepłynął kolejne kilkanaście basenów, nim podczas następnej przerwy zdał sobie sprawę, że oprócz niego na pływalni jest tylko para młodych ludzi dwa tory dalej. Po chwili zresztą oboje wyszli z wody, a rozstając się przed wejściami pod prysznic, pocałowali się zmysłowo. Kastor pomyślał o Oli. O tym, jak odtrącił ją od siebie brutalnie, chcąc chronić. Czy mógł wtedy postąpić inaczej? Czy na pewno podjął właściwą decyzję?

Gdy byli ze sobą, często zostawiali sobie bukietki fiołków na pomniku Grunwaldzkim. Swego czasu powiedziała Kastorowi, że znowu spotyka się ze swoim szefem, rzutkim biznesmenem. Mimo to w sierpniu widział przecież fiołki w wyrzeźbionej przyłbicy pokonanego Ulricha von Jungingena. Ale i tak nic nie zrobił, nie zareagował. Stchórzył? Nie, to nie tak. Nie chciał wyjść na frajera, który będzie o nią zabiegał. Ma się prosić? Na to jest zbyt dumny. Zresztą czy to takie złe żyć samemu? Nie musiał brać udziału w przedświątecznej gonitwie. Walczyć o choinkę czy karpia, stać w kilometrowych kolejkach. Dumać nad prezentami, przewidywać, czy będzie zadowolona. Nic nie musiał. Wolność! Napotkał wzrok ratownika siedzącego na ławce pod ścianą. Tęgi mężczyzna w pomarańczowej koszulce przeżuwał bułkę i patrzył na komisarza. Jego spojrzenie mówiło: „Co ty tu, chłopie, robisz?”. A może tylko tak się Kastorowi wydawało. Rozejrzał się po basenie. Nikogo poza nim i ratownikiem. Niemal idealnie gładka tafła wody odbijała zawieszone pod sufitem lampy. Wtedy zrozumiał. Robił to, czego tak bardzo nie znosił. Oszukiwał samego siebie. Nie był sam. Był samotny. A to bardzo duża różnica.

3

W drodze powrotnej kupił kilka świeczek. Szczerze wątpił, by udało mu się szybko uregulować rachunki. Zresztą kiedyś ludzie żyli bez elektryczności i jakoś sobie radzili, prawda? Wyszedł z domu po ósmej. Śnieg przestał padać, ale mróz ciągle trzymał mocno. Kastor pojechał tramwajem na Mogiłską, zahaczywszy o sklep spożywczy, gdzie kupił pół litra wyborowej i dwa okolicmy full light.

W swoim pokoju na komendzie zostawił zakupy na stole. Zdjął kurtkę, potem sprawdził, czy w miednicy nie pojawiło się coś nowego. Kwiatek wychrypiał coś niewyraźnie spod koca, gdy komisarz poprawiał na ścianie zdjęcie w ramce, z którego

uśmiechały się żona oraz dwie córeczki tamtego. Niecałe piętnaście lat wcześniej żona wyrzuciła go z domu, żeby rozpocząć nowe życie. Ale dla Kwiatka czas się wtedy zatrzymał. Nadal żył w świecie, w którym jego córki miały osiem i pięć lat. Tymczasem Kastor widział je ostatnio na dworcu razem z matką. Nie przypominały wesołych dziewczynek ze zdjęcia. Były dorosłymi kobietami.

Po kilku delikatnych puknięciach drzwi się otworzyły, a w szparze pojawiła się nieznana Kastorowi twarz.

– Komisarz Kastor Grudziński?

Mężczyzna wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Około sześćdziesięciu lat, dosyć wysoki. Komisarz ocenił go na jakieś metr dziewięćdziesiąt. Jajowatą głowę wieńczyła łysina, ale po bokach zostały pasma siwych włosów. Nieznajomy nosił bardzo grube szkła w rogowych oprawkach. Wyciągnął rękę i powiedział:

– Aspirant Albert Szlemer. Przydzielono mnie do pańskiej sekcji. Miło poznać.

– Wzajemnie. Proszę siadać.

Usiedli przy biurku Kastora, a Szlemer omiótł wzrokiem torbę z wódką i piwami. Ale nic nie powiedział. Dobry znak.

– Nadkomisarz Różański pana przysłał? – spytał Kastor.

– Zgadza się.

– Znacie się, panowie?

– Nie miałem z nim wcześniej przyjemności. Ale może to lepiej.

Zdecydowanie za wcześnie, żeby sobie zaufać. Obaj wiedzieli o sobie bardzo niewiele. Powiedzmy, że na razie łączyła ich cienka nić porozumienia co do opinii o ich wspólnym przełożonym, Włóczykiju.

– Jak mamy razem pracować, to chyba nie będziemy po stopniach latać, co? – Szlemer skrzywił twarz w uśmiechu i wskazał swoje okulary. – Ślepy jestem. Zawsze w resorcie tak na mnie wołali. Minus siedem i pół w lewym oku i dziewięć w drugim. Ale to nie za zgreda mi się przydarzyło. Od dzieciaka tak mam.

– Kastor. Jak się pewnie domyślasz, przez to posrane imię żadna ksywa się do mnie nie klei.

Ślepy skinął lekko głową, a Kwiatek w tym samym momencie wyprostował się gwałtownie na swoim posłaniu, zrzucając koc. Gwałtownie łąpał powietrze ustami, po pokoju rozeszła się przykra, słodkawa woń bezdomnego. Kastor otworzył okno, by mroźne powietrze wypchnęło smród na zewnątrz.

– Niech mnie kule biją! – Sierżant Kwiecień zaczynał przeklinać dopiero późną nocą pod wpływem alkoholu. Normalnie stronił od wulgaryzmów. – Śniło mi się, panowie, że włożę do gigantycznej torby, zasuwam za sobą suwak. I okazuje się, że to wehikuł czasu.

– Przeniosłeś się w przyszłość o trzydzieści lat? – spytał Kastor z uśmiechem. – Widziałeś poduszkowce i bazę na Marsie?

– Gorzej. W środku była tylko wajcha z napisem „1947”. – Kwiatek otarł pot z czoła. – Rok moich urodzin. Jakbym miał jeszcze raz przeżywać swoje życie, tobym się ciachnął za niemowlaka.

Komisarz wstał i wyciągnął z torby butelkę piwa. Przytknął do wyszczerbionego rogu biurka i otworzył ją, uderzając nasadą dłoni. Kapsel potoczył się po podłodze, a Kwiatek chwycił butelkę i osuszył w kilka sekund. Kastor odkręcił butelkę wódki i podał koledze. Z tej sierżant pił już powoli, oddychając ciężko przez nos, niczym niemowlak ssący mleko przez smoczek. Gdy wypił wódkę, wstał z fotela i oparł się ciężko o ścianę. Mimo szeroko otwartego okna atmosfera w pokoju znów lekko zgęstniała. Kwiatek przedstawiał obraz nędzy i rozpacz. Pomięte spodnie i koszula, włosy zlepione potem oraz twarz od lat niszczone alkoholem. Wyszedł z pokoju chwiejnym krokiem, a Kastor złożył koc w elegancką kostkę i ponownie usiadł za biurkiem.

– Nie sądziłem, że takie rzeczy jeszcze są możliwe – powiedział Ślepy.

– To już chyba ostatnie takty tego walca.

– Takie coś to widziałem jeszcze w stanie wojennym, gdy robiłem w komisariacie na Szerokiej. Ale teraz już pijaństwa nie tolerują.

– To nie jest pijak, tylko alkoholik. – Komisarz zrobił uczoną minę. – Zresztą Kwiatek to świetny policjant. Sam zobaczysz. A ostatnio gdzie pracowałeś?

– Na parkingu, pod Pewexem przy 18 Stycznia.

– Jak to?

– Normalnie, cieciem byłem. Przecież mnie z emerytury ściągnęli. A wcześniej to różnie.

Komisarz się nie spodziewał, że Włóczyki da mu do pomocy kogoś, kto już nie był w czynnej służbie. Ślepy musiał wyczytać rozczarowanie z twarzy Kastora, bo rzucił pocieszająco:

– Spokojnie. Poza resortem jestem rąptem dwa lata. Może tak do końca nie zardzewiałem.

Do pokoju wrócił Kwiatek. Miał na sobie oliwkowy garnitur z kamizelką w tym samym kolorze. Błękitną koszulę przecinał elegancki wąski krawat w czarno-białe grochy. Policzki sierżant miał gładko ogolone, a czarne lśniąco włosy zaczesał do tyłu na wzór amantów z przedwojennych produkcji. W powietrzu rozeszła się przyjemna woń perfum. Nuty aceroli i grejpfruta, połączone z migdałami.

Ślepy patrzył z rozdziawionymi ustami, jak sierżant siada przy biurku, zakłada nogę na nogę i z wewnętrznej kieszeni marynarki wyciąga srebrną papierośnicę. Papieros trafił do lufki i piwo z drugiej butelki do szklanki typu pils. Nikt nie wiedział, jak się Kwiatkowi ta sztuka udawała, ale pod wieczór zawsze przechodził przemianę, stając się eleganckim, gotowym do wytężonej pracy policjantem. Komisarz też patrzył na kolegę z podziwem. Uznał, że taka postać zdecydowanie nie pasowała do lichego pokoju komendy przy Mogińskiej. Sierżant powinien siedzieć teraz w kawiarni paryskiej dzielnicy Montmartre, gdzie mógłby dyskutować z kolegami artystami o swoim najnowszym obrazie.

– Kastor, wybacz, że nie było mnie na pogrzebie Tyszola. – Kwiatek wydmuchnął dym pod sufit. – Ale cały dzień strasznie cierpiałem. Rozumiesz, grypa żołądkowa.

Jak każdy alkoholik, sierżant żył w swoim własnym świecie, więc Kastor nie skomentował jego słów. Zaznajomił za to Ślepego z całą sprawą, opowiadając pokrótce o strzelaninie na Tomexie i śmierci ich poprzedniego naczelnika. Gdy skończył, w pokoju na dłuższą chwilę zapadła cisza.

– Kto dał wam cynk o kradzionych płytach? – spytał wreszcie Ślepy.

– Cajger. Złodziej ze Skawiny – odparł Kwiatek.

– Myślicie, że specjalnie was wtopił?

– Czy ja wiem. – Kastor podrapał się po czole. – To porządny złodziej, z zasadami. Ale wiadomo, jak to z nimi jest. Nie przegapią okazji, żeby człowieka wycyckać. Tylko że faceci, którzy zaczęli do nas szyć z automatów, byli zaskoczeni. Po co w ogóle strzelać do kryminalów z wojewódzkiej?

– Tak czy siak, może warto z nim pogadać? – Ślepy poprawił nerwowo okulary.

– Myślisz, że na to nie wpadliśmy? – Kwiatek uśmiechnął się pod nosem, gasząc niedopałek w popielniczkę.

– Szukaliśmy gościa wszędzie. Mieszkanie, meliny, rodzice, była żona. Przepadł. Amba fatima. Był i go ni ma.

– Macie jego teczkę?

Kastor skinął głową, ale w tym samym momencie zadzwonił telefon. Komisarz rzucił kilka słów do słuchawki, po czym odłożył ją na widełki.

– Chłopaki z laboratorium skończyli robić ciężarówkę z Tomexu. Kwiatek, pójdziesz ze mną. A ty, jak chcesz, możesz jeszcze raz sprawdzić Cajgera. Czytałem tę jego zasraną teczkę pięćdziesiąt razy przez ostatnie trzy dni.

Sięgnął do półki i położył teczkę na blacie. Potem wyszedł z Kwiatkiem z pokoju, a Ślepy usiadł za biurkiem, rozwiązał sznurek i uniósł okładkę.

Grudziński i Kwiecień opuścili główny budynek i po chwili byli już w siedzibie techników kryminalistycznych. Przywitał ich sam szef sekcji, zwany Smokiem. Szczupły, w okularach, miał niezdrową, żółtą cerę oraz ubranie zupełnie przesycone nikotyną. Rozpromienił się na ich widok, wyciągnął z ust niedopałek i od niego odpalił kolejnego papierosa.

– Witam pana komisarza!

– Cześć, Smoku. Ty to chyba nie palisz tylko w nocy, co?

– No jak? Cztery razy się budzę, żeby zająć. I się wyszczać.

Wy, młodzi, jeszcze nie wiecie, w czym rzecz.

– Jestem w twoim wieku, ale nie muszę w nocy wstawać do kibla – wtrącił Kwiatek.

– Osobnicy stale odwodnieni się nie liczą. – Smok z zadowoleniem zaciągnął się świeżym papierosem.

– Dobra, mów.

– Fiat podziurawiony, ale to już wiesz. Wyciągnęliśmy wszystkie kule. Wygląda na to, że szyli do was ze skorpionów.

– Cholernie dobra czechosłowacka konstrukcja – skwitował Kwiecień.

– I cholernie droga. Przynajmniej na czarnym rynku. Skąd takie obszczymury mają na to kasę?

– Kastor, błagam... – Smok skończył papierosa i niezwłocznie odpalił następnego. – Obecnie sklepy spożywcze mają większy budżet niż wojewódzka. Jak ja ostatnio usłyszałem, że mięso do stołówki jest za drogie i szukają zamienników, to już nie mam pytań.

– Co może być zamiennikiem mięsa? – Kastor się zdziwił. – Ziemniaki?

– Chciałbyś.

– Dobra, a co z ciężarówką?

– Piętnaście tysięcy płyt kompaktowych. Kradzionych.

I mała niespodzianka.

Smok zaprosił ich gestem do jednego ze stołów i pokazał leżące tam paczki. Wszystkie ciasno owinięte brązową taśmą

samoprzylepną. Kastor z miejsca się domyślił, o co chodzi. Od kilku miesięcy po Krakowie chodziły słuchy, że w mieście pojawiają się nowe narkotyki. Zwłaszcza kokaina przemawiała wszystkim do wyobraźni. Głównie pod wpływem amerykańskich filmów, których coraz więcej wyświetlano w polskiej telewizji.

– Kokaina – powiedział komisarz. – Ile tego jest?

– Osiem kilo. Tyle że to amfetamina.

– Co?

– Inne gówno. Przynajmniej taką informację dostałem z IES-u.

Instytut Ekspertyz Sądowych imienia Profesora doktora Jana Sehna cieszył się w Polsce świetną opinią. Dlatego Kastor wątpił, by ich laboranci coś pomylili. Do tej pory w Krakowie narkomani zadowalali się klejem, swojskim kompotem, czyli heroiną, albo – z łżejszych tematów – gandzią. Ale jakaś amfetamina?

– Jak to się bierze?

– Bez jaj. – Smok odpalił kolejnego papierosa. – Nie jestem jakimś uzależnionym pojebem. Popytajcie ćpunów.

– Dobra, dzięki.

W drodze do głównego budynku, natknęli się na Ślepego, który żwawo przemierzał dziedziniec.

– Gotowi? – spytał. – Przejedziemy się.

– Co, już wszystko przeczytałeś?

– A na cholere? Skoro ty czytałeś tyle razy, to wiedziałem, że nie ma sensu. Zrobiłem za to coś, co ty pewnie sobie odpuściłeś. Przeczytałem pierwszą stronę.

Komisarz spojrzął na swojego sierżanta, ale ten tylko wzruszył ramionami. Spytał więc Ślepego:

– O co ci chodzi?

– Na pierwszej stronie zawsze jest historia karalności.

– Myślisz, że o tym nie wiem?

– Myślę, że wiesz. Pytanie brzmi, czy wiesz, że o kryminaliście więcej można się dowiedzieć z czasu pod celą niż na wolności?

Komisarz milczał dłuższą chwilę. Nie do końca rozumiał, do czego zmierza Ślepy, ale pojął dwie rzeczy. Po pierwsze aspirant dobrze kombinował. Po drugie Kastor mógł go nie docenić. O dziwo, zwłaszcza ta myśl mu się spodobała. Może nie będzie tak źle, jak się na początku wydawało.

– Chłop ostatnio siedział w Tarnowie. Dlatego zadzwoniłem do naczelnika tamtejszego zakładu karnego.

– Zaraz, chwila! – Kwiatek zaprotestował. – Naczelnik tarnowskiej puchy jest o tej porze w robocie?

– Skąd! Zadzwoniłem na zakład i powiedziałem, żeby Waldek oddzwonił do mnie na Mogilską. To akurat zaleta moich sześćdziesięciu dwóch wiosen. Zna się trochę ludzi. – Ślepy uśmiechnął się skromnie. – Waldek przedryndał na domowy więzienny wychowawcy, a ten szybko do mnie oddzwonił. Cajger przez całą odsiadkę wielokrotnie wnioskował, by siedzieć z jednym swoim waflem, niejakim Śpiewakiem. Płotka, specjalista od włamów do monopolu. Próbował sił w paserce, ale szybko go pozamiatali.

– Będzie coś więcej czy same losy pana włąmywacza? – Kastor zaczynał się niecierpliwić. – Bo jak nie, to może jeszcze zdążyć na powtórkę *Dynastii*.

– Wy młodzi to wszystko na chybcika! Spokojnie. Cajger wyszedł dwa miesiące przed Śpiewakiem. A potem zrobiła się granda pod celą. Śpiewakowi musieli dać izolatkę, bo na pawilonie poszła fama, że jest homosiem.

– Co? Chcesz mi powiedzieć, że Cajger jest ciepły? Przecież ma żonę i dziecko!

– A to nie znasz pedałów, co mają rodziny?

Komisarz zamilkł. Oczywiście, że takich znał. Wielu mężczyzn, bywających w lokalach dla homoseksualistów, miało żony i dzieci. Zastanawiał się, czy w ogóle warto iść tym tropem. Tylko czy mieli inny punkt zaczepienia?

– Powiedz, że namierzyłeś lokal tego Śpiewaka.

– Powiem. Prokocim.

– O kurwa... – Kastor i Kwiatek jęknęli zgodnie jak na komendę.

Wiedzieli, że w piątkowy wieczór nie ma co liczyć na podwózkę którymś z radiowozów. Wszyscy mieli ręce pełne roboty. Został spacer na przystanek i tramwaj. Gdy przesiadali się pod Poczta Główną, komisarz wyczuł od Kwiatka silną woń świeżego alkoholu. A przecież mógłby przysiąc, że ciągle miał go na oku. Nie wiadomo, jak to robił, ale Kwiatek zawsze zdołał nawalić się podczas tych kilku wieczornych godzin – o trzeciej, czwartej nad ranem na dobre kończył mu się termin przydatności. Ot, tajemnice alkoholików.

Wysiedli na prokocimskiej pętli i pomaszerowali w kierunku bloków. Przez dobre dwadzieścia minut mróz dał im się dobrze we znaki.

– Dzielnica kurew i złodziei, a radiowozu żadnego. – Kastor szczękał zębami.

Prokocim nie należał do najspokojniejszych okolic. Swego czasu przesiedlono tu element ze Starego Podgórza, a nowi lokatorzy szybko zaprowadzili swoje porządki. Dochodziło tu do wielu zabójstw i gwałtów, po transformacji gospodarczo-ustrojowej ich liczba znacznie wzrosła. Jednak jak na złość tego wieczoru było całkiem spokojnie.

– Może wybijmy jakąś szybę – sapnął zrezygowany Kwiatek. – Ktoś zadzwoni po policję i nas podrzucą, co?

– Kto by dzwonił z powodu rozbitej szyby?

Komisarz tylko machnął ręką. Musiało być naprawdę zimno, skoro sierżantowi nie pomagali pity ukradkiem alkohol.

– Który to miał być numer?

– Siedem – przypomniał Ślepy. – Panowie, ja mam chyba tę... hipotermię.

– Chce ci się spać? – spytał Kastor.

– Nie.

– To jeszcze chwilę pożyjesz. Dobra, tu jest pięć.

– A tam dziewięć. – Kwiatek zionął alkoholem.

– Kurwa, to gdzie jest siódemka?!

Miedzy drzewami zauważyli kobietę wyprowadzającą psa. Spojrzeli na siebie porozumiewawczo i zgodnie przyspieszyli kroku. Widząc ich, kobieta wzięła psa pod pachę i rzuciła się do ucieczki.

– Pani zaczeka! – Ślepy wydarł się na całą okolicę.

– Daj spokój, pewnie myśli, że damy jej w łeb i zabierzemy torebkę.

Ostatecznie udało im się znaleźć właściwy budynek. Najpierw przytulili się do gorącego kaloryfera na półpiętrze. Dopiero po kilku minutach zeszli z powrotem na dół, żeby zerknąć na listę lokatorów.

– Siedemdziesiąt osiem. Dziewiąte piętro.

Kwiatek kiwnął głową i wcisnął guzik windy, ale nic się nie stało. Nie zapaliła się żadna lampka, nie usłyszeli charakterystycznego odgłosu ruszającego dźwigu. Nawet nie skomentowali. Nie mieli już siły. Poczłapali mozolnie schodami. Gdy wreszcie dotarli na dziewiąte piętro, Kastor był wykończony. Zerknął dyskretnie na nowego kolegę, w końcu Ślepy miał dwadzieścia lat więcej. Trzymał jednak fason i wcale nie wyglądał na umierającego. Stara szkoła.

– Przynajmniej przez balkon nie spierdola – wysapał raźnie komisarz i nacisnął dzwonek.

Czekali w milczeniu. Po kolejnych kilku próbach Ślepy przytulił ucho do drzwi i powiedział:

– Jakaś muzyka gra, ktoś powinien być. – Załomotał w drzwi pięścią. – Proszę otworzyć! Policja!

Kwiatek nacisnął klamkę, a drzwi stanęły otworem. Wszyscy trzej wyciągnęli pistolety. Pierwszy wszedł Kastor, z bronią gotową do strzału rozglądając się po korytarzu. Z pokoju dochodziła dyskotekowa muzyka. Niemiecki zespół *Snapp!* rapował po angielsku o tym, że mają siłę i w każdej chwili mogą zaatakować, ale ty tego nie chcesz, i tym podobne bzdety. Świeciło się we

wszystkich pomieszczeniach. Ślepy zajrzał do kuchni, a Kwiatek otworzył drzwi do łazienki.

– Panowie...

Pozostali wetknęli głowy do środka. Cała łazienka zachłapaną krwią. W wannie trudno dostrzec białą emalię, a w środku mężczyzna z odchyloną głową i wytrzeszczonymi oczami. Gardło miał poderżnięte tak głęboko, że w ranie widniała przecięta rurka tchawicy. Trzymał co prawda w zaciśniętej dłoni żyletkę, ale cięcie wyraźnie sugerowało, że ktoś załatwił sprawę większym narzędziem. Kastor widział, że to nie Cajger. Pewnie więc właściciel mieszkania, Śpiewak. Tamtego znaleźli w salonie, na haku od żyrandola. Opuchlizna i kolor ciała wskazywały, że nie żył od dwóch, trzech dni. Policjanci schowali broń.

– Najpierw żyletka do golenia wąsa, a teraz wisielec w pokoju bez krzeseł – powiedział Ślepy. – Chłopaکی muszą popracować nad pozorowaniem samobójstw.

– Głuchy. – Kwiatek naciskał widełki telefonu, przykładając słuchawkę do ucha. – Idę do sąsiadów i zadzwonię po naszych. Przynajmniej nie będziemy musieli drałować na piechotę.

Kastor rozejrzał się po wnętrzu, a jego wzrok padł na nowiutką wieżę z odtwarzaczem płyt kompaktowych. Na chwilę zapadła cisza, potem utwór niemieckiego zespołu zaczął się od początku. Komisarz pomyślał, że właśnie na taki odtwarzacz go nie stać. No i że nie podobają mu się te dwa trupy. Zabójcy Tyszola wiedzieli, że Cajger to trop, i nie zawahali się go zlikwidować razem z jego kochankiem. Ci ludzie nie cofną się przed niczym.

Nareszcie koniec szkoły! Co prawda tylko na chwilę, ale to zawsze coś. Skończy się poranne wstawanie. Zimą strasznie trudno rozstawało mu się z ciepłą kołdrą. Zwłaszcza że jego łóżko stało

przy ciepłej ścianie, nagrzanej piecem sąsiadów. W sumie ta czwarta klasa nie była taka zła, pomyślał Bartek. Skakał między przechodniami, starając się nie nadepnąć na linie rozdzielające płyty chodnikowe.

Tak go na początku straszili. Że zobaczy, że będą prawdziwe oceny, że zaczyna się dorosłość. Że nie będzie już jednej pani, która zawsze przytuli rozplakaną buzię do drapiącego swetra. A jemu to się tak naprawdę nawet spodobało. To przecież całkiem fajne, że od każdego przedmiotu jest inna facetka. Przynajmniej coś się dzieje. No i niektórzy z kolegów też jakby wydorośleli. Ojciec pracował w krakowskim MPO i na początku dzieci dokuczały chłopcu, wołając go synem śmieciarza. Pierwsze dwie klasy wspominał jak koszmar. Każdego tygodnia ktoś doprowadzał go do płaczu. A wtedy robiło się jeszcze gorzej, bo przezywali go bekساً. Teraz jakby wszystko trochę się poprawiło.

Począł na zielone i przebiegł przez ulicę, jakby ktoś go gonił. Tata tyle razy mu powtarzał, żeby uważał na samochody. Opowiadał straszną historię, jak to kiedyś któryś z jego kolegów cofał śmieciarką i zmiażdżył kobietę przechodzącą przez ulicę. Ta wizja tak głęboko wryła się Bartkowi w głowę, że każdą ulicę, upewniwszy się przedtem, że nic nie jedzie, pokonywał biegiem.

Zręcznie ominął kilka doskonale mu znanych deszczowych min. Tak nazywał obłuzowane płyty chodnikowe, pod którymi zbierała się woda. Gdy ktoś na taką nadepnął, oblewała mu nogę po kolano. Kobiety były wtedy zrozpaczone, a panowie zawsze się złościли, niektórzy nawet mówili „kura” przez „wu”. Straszne słowo. Bartek kiedyś je powiedział i dostał pasem od ojca.

Czasem stawał w bramie i obserwował, kto się nadzieje na deszczową minę. Teraz również przystanął pod szerokim zadarszeniem i obserwował przechodnia, który zmierzał wprost na minę. Mężczyzna w płaszczu i kapeluszu nadepnął mocno na zaśnieżoną płytę, ale nic się nie stało. Wtedy Bartek uświadomił sobie, że przecież jest mróz i woda pod płytą zamarzała. Tak jak ta kałuża, która zawsze robiła się u nich na podwórku.

Ruszył w kierunku domu. Po chwili zaczął się trochę martwić tym, że źle życzył tamtemu panu, choć zbliżały się święta. Wiedział przecież, że dobre uczynki nagradzane są prezentami, a złe figą z makiem albo co gorsza różgą. Nie miał pewności, co to ta cała różga, ale nie sądził, że coś dobrego. Co prawda nie wierzył już w Świętego Mikołaja, ale z drugiej strony kto go tam wie? Może faktycznie facet istnieje i teraz widział, że Bartek pośmiałby się z czyjegoś nieszczęścia? Na wszelki wypadek odmówił w duchu szybkie *Ojcie Nasz*. Co jak co, ale to na pewno załatwi sprawę.

Skręcił w swoją ulicę i z daleka zobaczył kamienicę, w której mieszkał z tatą. Od kilku dni, gdy ojciec jeszcze nie wrócił do domu, Bartek przetrząsał wszystkie zakamarki w poszukiwaniu prezentu. Z jednej strony chciałby mieć niespodziankę pod choinką, ale z drugiej jakoś nie mógł się powstrzymać. Wiedział, że są tylko dwie możliwości. Albo tata bardzo dobrze ukrył prezent, albo po prostu nie da Bartkowi tego, o czym ten marzył. Ale przecież coś musiał dostać. W końcu nawet gdy w domu się nie przelewało, zawsze znajdował coś pod choinką.

Tata wiedział, co Bartek chciał dostać w tym roku, bo słuchał o tym od kilku miesięcy. Klocki Lego! Jeszcze rok albo dwa wcześniej to byłoby nierealne. Ojciec nie zarabiał wiele w MPO. Ale od jakiegoś czasu coś się zmieniło. Chodził bardziej uśmiechnięty i powtarzał, że „śmiesi się poprawiły”. Bartek nie wiedział, co to znaczy, ale widział, że tata nie raz przynosił różne sprzęty, z którymi potem zamykał się w swoim pokoju. Naprawiał je, a w niedziele jeździł na tandetę i praktycznie za każdym razem wracał z takiej wyprawy z szerokim uśmiechem.

Bartek nie liczył na duży zestaw w stylu średniowiecznego zamku. Miał jednak upatrzone coś o wiele lepszego. Widział to na wystawie. Rycerz na białym koniu z tarczą i kopią. Do tego hełm z taką otwieraną osłoną. Pani od historii tłumaczyła, jak taka osłona się nazywa, ale już zapomniał. A najlepszą rzeczą w zestawie była otwierana skrytka z duchem w środku.

I to jakim! Wykonano go z materiału, który świecił w ciemności. Wystarczyło wcześniej podstawić go pod żarówkę! Bez żadnych baterii, bez niczego. Bartek nie chciał nawet w to uwierzyć, dopóki nie zobaczył czegoś podobnego u szkolnego kolegi.

Panie Boże, obiecuję, że nie będę już ziewał w kościele i do końca życia będę robił same dobre uczynki, pomyślał gorączkowo. Tylko błagam, spraw, żebym w tym roku znalazł pod choinką rycerza z duchem. Może być nawet bez rycerza! Byleby tylko był ten świecący duch.

Pochłonięty marzeniami, chłopiec nie zauważył zatrzymującej się za nim czerwonej furgonetki. Boczne drzwi otworzyły się, na zewnątrz wyskoczył ktoś w czapce nasuniętej prawie na oczy i szaliku zakrywającym usta. Lewą ręką złapał mocno chłopca, przyciskając mu ramiona do ciała, a drugą przytknął chusteczkę do twarzy i wciągnął zupełnie zaskoczonego do środka. Drzwi się zatrzasknęły, a furgonetka wyrwała ostro do przodu.

Nie wierzysz że to już koniec? Masz rację!
To był darmowy fragment powieści, jeśli chcesz
dowiedzieć się jak to się naprawdę kończy
(oraz dać się zaskoczyć kilka razy po drodze),
zapraszamy do nas:

www.heca.art



Spółka
Autorska
Heca

Copyright © Spółka Autorska Heca